

Piotr Wojciechowski

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0103**

Data urodzenia: **04.03.1966 r.**

Data nagrania: **21.04.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 51 min, część III: 42 min,**

Format nagrania: **video**

część IV: 44 min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Jak w takim razie pan trafił, nawiązał kontakt i tutaj taką już bezpośrednią działalność w ramach komitetów obywatelskich? Jak to pan wspomina?

Piotr Wojciechowski: Szczerze mówiąc nie pamiętam jak trafiłem do komitetu obywatelskiego przy ulicy Flory i przez kogo, szczerze mówiąc, ale szybko tam zostałem zaakceptowany, rządziła tym Ludka Wujec i ja byłem jednym z wielu kurierów, którzy utrzymywali kontakty z terenowymi odpowiednikami. Należałem do tych osób, które obsługiwały, pamiętam, Bydgoszcz i Szczecin. I to się działo w sposób nieprzerwany, już po wyborach oczywiście czerwcowych, do wojny na górze, do wyborów prezydenckich i zdymisjonowania Henryka Wujca, sekretarza komitetu, nieprzerwanie w sposób taki ciągły jakby. Ileś razy w tygodniu jeżdżenie właśnie do tych miast, Bydgoszcz, Szczecin, spotkanie się z tamtym aktywem, przekazywanie jakichś biuletynów czy informacji, sprawozdawczość, generalnie to była siatka związana z utrzymywaniem kontaktu po prostu z tymi miejscami. Taka to była rola. I to pęknięcie nastąpiło wtedy, kiedy Lech Wałęsa wysłał do Henryka Wujca słynny telegram z tekstem: „Czuj się, Heniu, odwołany”, po czym nastąpiła zmiana władz komitetu Lecha Wałęsy, czyli Jan Olszewski, Najder i Wojciech Włodarczyk, stały się te trzy osoby kluczowe w ogóle przy tym ciele, tym środowisku, które reprezentowały. I ja, i parę innych osób, późniejszych, zresztą bliskich współpracowników premiera Jana Olszewskiego, jak Zbyszek Krzysztoń, postanowiliśmy zostać przy tej ekipie, nie poddać się tej...

Artur Kłus: Jeszcze jakby pan nakreślił, jak pan to widzi, ten konflikt, dlaczego doszło do tej wymiany, jak pan to pamięta?

Piotr Woyciechowski: Wojna na górze była oczywiście wywołana ambicjami Lecha Wałęsy, prezydenckimi, ale wojna na górze była wynikiem pewnego zapotrzebowania społecznego, radykalizacji zmian i niezgody na kompromis z komuchami. Znaczy to już wtedy uznawaliśmy, że w naszej optyce i też w wielu środowiskach politycznych związanych z Janem Olszewskim, Antonim Macierewiczem, założycielami PC, czyli Jarosławem Kaczyńskim, że to jest zdrada. Kontynuowanie traktatu, umów okrągłostołowych jest zdradą, w szczególności po styczniu 1990 roku, kiedy przestała istnieć druga strona umowy, czy też tego traktatu i kontynuowanie tych przywilejów, tej zgody, co miało odzwierciedlenie w szczególności w składzie personalnym i panowaniu komuchów w resortach takich kluczowych, siłowych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego powodowało bunt, niechęć. Znaczy jakby to powiedzieć niezgody. I Lech Wałęsa to umiejętnie zagospodarował. Pamiętamy te słynne jego zawołanie, że was puszcze wszystkich ze skarpetkami, które się oczywiście skończyło niczym, oszukał nas, oszukał naród, ale po prostu bardzo umiejętnie jako trybun ludowy skupił to niezadowolenie, słuszne niezadowolenie, słuszne roszczenia do tego, żeby po pierwsze naciągnąć komuszków do odpowiedzialności za zbrodnie, ale przede wszystkim nie dać zgody na uwłaszczanie się na majątku narodowym i zgody na to, żeby obowiązywała tylko jedna linia polityczna, pisana w redakcji na ulicy obecnie Czerskiej, czyli Gazety Wyborczej. I my jakby w tym środowisku, można powiedzieć kurierów i obsługi sekretaryjnej, sekretariatu komitetu obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ Solidarność, a później Lechu Wałęsie, wtedy zarządzane przez rodzinę Wujców, nie zgodziliśmy się. I w tej mniejszości zostaliśmy po prostu przy nowych władzach, a reszta, niczym te owieczki, poszły, że tak powiem, za tym nurtem i na tym to polegało. Już wtedy tak jak mówię, towarzysko jakby werbalizowaliśmy. To było zwerbalizowana ta niezgoda na ten stan rzeczy. Już nawet w tej konstrukcji, w której środowisko gazety późniejszej, Wyborczej, skupionego wokół Adama Michnika, a zarządzana struktura przez Henryka i Ludkę Wujec, był manifestowany. To nie jest tak, że to był monolit od początku.

Artur Kłus: Jak pan wspomina już później tę pracę w komitetach obywatelskich?

Piotr Woyciechowski: Ona się po pierwsze... Rok jakby do momentu jesieni. To było takie zdziwienie na przykład, że to on obejmuje tutaj... No, nie, on był postacią taką kultową, bo niedawno, prawda, znaczy gdzieś niedawno stosunkowo wrócił do Polski po wyroku śmierci danym przez władzę komunistyczną, były dyrektor radia Wolna Europa, no, specjalista literaturoznawca, postać, że tak powiem, nie nieznana, określona swoją historią, więc to duże zaskoczenie, ale owiana jakąś tam legendą. Natomiast ja zresztą, jakby to powiedzieć, znałem go ze strony publicystycznej w IPN-ie, to znaczy on publikował w Polskim Porozumieniu Niepodległościowym, był jednym z sygnatariuszy i jakby to powiedzieć, nie był dla mnie w tym znaczeniu postacią anonimową. Więc oczywiście, że to był szok dla tej części głównej skupionej wokół Wujców i wokół Mazowieckiego, a także Geremka. I też szokiem było, towarzyskim, to że te parę osób postanowiliśmy zostać, nie opuszczać w ramach protestu sekretariatu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. To się skończyło oczywiście ostracyzmem, jak to w ich wypadku, towarzyskim, bo musiało to być równoległe. Tu nie ma, że tak powiem, z ich perspektywy nie ma wolnego wyboru. Trzeba, jak wolny wybór, znaczy że zgadzasz się z ich poglądem, a jak nie, to już spotyka się z ostracyzmem publicznym i to rzeczywiście widać było, jak to pranie mózgu skutecznie było przeprowadzone przez to środowisko wobec w szczególności młodych ludzi, wiekowo mi odpowiadających albo młodszych. Ale to był krótki czas potem do wyborów jesiennych 1991 roku, czyli tych pierwszych demokratycznych wolnych wyborów do Sejmu i od tej daty właściwie powinniśmy liczyć, że to jest,

mamy do czynienia z Polską wolną albo przynajmniej z legitymacją faktyczną, prawdziwą legitymacją władzy ustawodawczej. Co niektórzy przyjmują, że ten okres kilku miesięcy działalności komitetu w pewnym momencie jakby to środowisko, tam też Jana Olszewskiego mogło się w pewnym sensie konsolidować i mieć jakąś, chociaż pogląd na organizację władzy, czyli nawet chociażby przygotowywać się ewentualnie, nawet podświadomie do tego, co się może wydarzyć właśnie na jesieni 1991 roku. Więcej, znaczy bo to jest tak, że to było zaplecze instytucjonalne, dla rządu przełomu, który nie powstał ostatecznie zaraz po wyborze Lecha Wałęsy na prezydenta. On się na to nie zgodził i stąd rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego, ale Lech Wałęsa w swojej mądrości rozumianej nie chciał izolować się od środowiska, nazwijmy to, przyszłego rządu Jana Olszewskiego, chciał mieć tych ludzi przy sobie i to była platforma zinstytucjonalizowana utrzymywania. Drugą taką platformą, mówię o komitecie, drugą był komitet doradczy. Ci sami ludzie byli w Komitecie Doradczym przy Lechu Wałęsie, czyli Jan Olszewski, Antoni Macierewicz, Wojciech Włodarczyk i tam jeszcze parę innych osób, które potem były kluczowymi osobami w rządzie Jana Olszewskiego. Komitet zajmował się, że tak powiem, koordynacją tego, co zostało z komitetów obywatelskich i tak zwanego Krajowego Kongresu chyba Komitetów Obywatelskich, które tak się to nazywało, krajowy kongres. Co parę miesięcy spotykał się w sali kolumnowej Sejmu i myśmy to po prostu obsługiwali. Była to taka, że tak powiem, nie partia polityczna, ale jakby pewna formuła oddziaływania, inna niż Porozumienie Centrum. I tak w sposób wytrwaliśmy do jesieni 1991 roku, czyli wyborów parlamentarnych, wskazania Jana Olszewskiego jako premiera i potem, o ile dobrze pamiętam, w grudniu głosowanie sejmu nad całym jego rządem. I wszyscy praktycznie, tak jak tam funkcjonowaliśmy, zostaliśmy po prostu zagospodarowani przez poszczególnych przyszłych ministrów.

Artur Kłus: Ja bym tak się zatrzymał na tym momencie tego grudnia, jak pan też wspomina, bo proces powołania Jana Olszewskiego na premiera, o tym dzisiaj się nie pamięta, to był bardzo skomplikowany proces i tam niewiele brakowało, żeby... Albo z drugiej strony, to był duży sukces w ogóle Jana Olszewskiego, że udało się powołać rząd, bo było mnóstwo przeciwności i różnych stron.

Piotr Wojciechowski: Tak, pierwszym, który miał misję, to był Bronisław Geremek przecież, a nie Jan Olszewski. Tylko nikt nie chciał z nim współpracować, dlatego szybko zrezygnował z tego. Nie, to pamięć mi przywołuje jako czas bardzo taki gorący napięć, późnego wracania do domu, dyskusji, planowania i emocji oczywiście z tym związanych, bo przez pałacyk Sobańskich, to trzeba też powiedzieć naszym, znaczy osobom, które nas oglądają i widzą, że tym centrum dowódczym komitetu sekretariatu komitetu obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, nawet nieformalnie komitetu doradczego przy Lechu Wałęsie jako prezydenta to był właśnie pałacyk Domańskich na Alejach Ujazdowskich chyba 3/5 albo... Chyba tak, 3/5 o ile dobrze pamiętam. Albo 1/3, już... Na przeciwko w każdym razie Parku Ujazdowskiego, między obecnym Ministerstwem Sprawiedliwości, a budynkiem dawnym ambasady brytyjskiej, to było właśnie centrum polityczne tej prawej strony niepodległościowej. Tam były te rozmowy, tam były ustalane składy rządu, tam było komunikowanie się, tam przychodzili przyszli doradcy, ministrowie, wiceministrowie, posłowie. To miejsce żyło właśnie polityką i takie zapamiętałem wtedy, zresztą jak późniejszych lat, po upadku rządu Jana Olszewskiego. Natomiast w sposób naturalny po świętach Bożego Narodzenia, czyli już wtedy, kiedy rząd był uznany pozowaniem przez sejm, powtórzę się, zostaliśmy w większości, tak jak tam pracowaliśmy, zagospodarowani, czyli dyrektor biura, Sławomir Dąbrowski został doradcą w kancelarii, URM-ie dawniejszym, obecnie kancelarii premiera, a bliskim do-

radcą i współpracownikiem Wojciecha Włodarczyka, który przejął szefostwo Urzędu Rady Ministrów w dzisiejszej nomenklaturze Kancelaria Premiera [Prezesa] Rady Ministrów. Antoni Macierewicz, którego poznałem tam i z którym współpracowaliśmy w obszarze bezpieczeństwa, zaproponował mi doradztwo, a potem pokierowanie i powołanie wydziału studiów gabinetu jego, jednostki, która przygotowywała uchwałę lustracyjną do wykonania czy w ogóle się przygotowywała do lustracji. Zbyszek Krzysztoń został osobistym sekretarzem premiera, tak w sposób naturalny, zgodnie z takim naturalnym mechanizmem te osoby, które wytrwały, współpracowały, zostały, bo musiały zostać zagospodarowane, z tego względu, że to trzeba też powiedzieć sobie szczerze i przypomnieć te realia, to nie było tak, że była jakaś kadra, którą można było zastąpić tą, która do tej pory rządziła państwem. To tak nie było. Dopiero od tego momentu tak naprawdę ta kadra zaczęła się kształcić, i ta urzędnicza, związana z obsługą państwa w różnych ministerstwach, jak i ta polityczna, która na bazie właśnie wyborów jesiennych 1991 roku, dostając się do parlamentu, do sejmu bądź do senatu, też uczyła się polityki, też uczyła się państwa w ogóle, czym ono jest, jak należy nim kierować, jak kształtować. Więc pretensje, które po latach czy jeszcze wtedy formułowano nawet pod egidą Gazety Wyborczej, o braku profesjonalizmu, braku przygotowania, są oczywiście nieuczciwe w tym znaczeniu i przestrzelone, że nie było innej kadry, która by reprezentowała nurt niepodległościowy. Była tylko jedna kadra, ta komunistyczna, ta niepodległa sowietom, zlojalizowana, odmóżdżona, można powiedzieć i przeciwnie, jeżeli chodzi o modernizowanie państwa polskiego, czyli ku nowoczesności. Ale ta sama Gazeta Wyborcza nie miała problemów z Piotrem Niemczykiem, który zaraz po powstaniu UOP-u został dyrektorem jednego z biur, a nie miał wykształcenia wyższego, tak, był gościem, który, że tak powiem, z wywieszoną koszulką i jeansami podartymi, niepranymi przez dwa tygodnie, lata z ulotkami po Warszawie. To nie jest pretensja. Mówię tylko, pretensja jest do tego, że były dwa kryteria przez te środowiska stosowane. O wiele obniżone mniejsze, wobec tych ludzi, którzy współtworzyli służby specjalne, jak Piotr Niemczyk, Brochwicz, Miodowicz i Sienkiewicz, którzy byli naturszczykami. Chyba, że o czymś nie wiem, czy sam Milczanowski, natomiast w drugą stronę to nie działało. Czyli te same zarzuty, na przykład wobec pracowników wydziału studiów, że nie byli archiwistami i historykami, nie stosowano wobec tego zrębu Milczanowskiego założycieli, tak zwanych współzałożycieli Urzędu Ochrony Państwa. Niemczyk, Miodowicz, Brochwicz i Sienkiewicz. To już tego zarzutu już nie było. To nie byli nieprofesjonaliści. Oni nie mieli nic wspólnego wcześniej ze służbami czy z archiwami SB. Natomiast pełna zgoda była i akceptacja dla ubeków, którzy panowali nad archiwami post-esbeckimi, która była częścią Urzędu Ochrony Państwa i którzy nad tym panowali, a także kontrolowali to. To już tu była pełna zgoda, że ci ludzie mogą do... Potem już zaczęliśmy rozumieć, skąd to się bierze, ile osób zdradziło czy Solidarność, czy w ogóle ruch, nurt niepodległościowy, stając się konfidentami SB. Potem już ta świadomość przyszła, jakby z głębią penetracji zasobu archiwalnego ewidencyjnego dawnej Służby Bezpieczeństwa, która była jednocześnie częścią zasobu archiwalnego i ewidencyjnego Urzędu Ochrony Państwa, czyli nowe państwo przejęło w całości, że tak powiem, kompmateriały, to się inaczej nazywa, materiały kompromitujące szeregu działaczy opozycji demokratycznej.

Artur Kłus: 7 stycznia pan został doradcą ministra, a po właściwie miesiącu szefem wydziału studiów. Jak pan wspomina w ogóle początek, wejście do ministerstwa, ten okres, bo pewnie, można się domyślać, że poza najbliższym środowiskiem, nie byliście panowie mile widziani wśród funkcjonariuszy.

Piotr Woyciechowski: Zastaliśmy resort jeden do jednego, jaki powstał w 1990 roku, ze wszystkim, całym obciąże-

niem ubeckim, tak zwanym. Szczupłość otoczenia Antoniego Macierewicza wtedy mnie bardzo zaskoczyła. To znaczy mi się to wydawało może, no, zbyt za dobry PR sobie robię, ale ja byłem odpowiedzialny za szereg decyzji pozytywnych personalnych, znaczy przyjmowania nowych ludzi na różne stanowiska, też newralgiczne, już nie mówiąc o składzie wydziału studiów, ale to też dotyczyło innych departamentów czy biur. - Szerzej. - Szerzej, tak. Natomiast byłem zaskoczony jednym, że taki polityk po tylu latach, kilkudziesięciu, 30, 40 działalności opozycyjnej, nie ma swojego garnituru współpracowników na tyle licznego, żeby zapewnić sobie suwerenność w przejmowaniu resortu. To dopiero następowało w miesiącach i zamknęło się niedługo przed upadkiem rządu Jana Olszewskiego, poprzez takie nominacje jak w pierwszej kolejności oczywiście rewers Antoniego Macierewicza, czyli Piotra Naimskiego, ale potem Andrzeja Zalewskiego i paru innych osób, które stały się albo ministrami, albo dyrektorami generalnymi ministerstwa. Pierwszą osobą, którą tam widziałem, poznałem, był oczywiście Arkadiusz Siwko, dyrektor gabinetu, późniejsza bliska postać Antoniego Macierewicza, a potem, że tak powiem, menadżera licznych przedsiębiorstw i spółek skarbu państwa, natomiast generalnie zauważyłem pewną próżnię, jeżeli o to chodzi. I zaraz po mojej nominacji wciągnąłem do współpracy na równorzędnym stanowisku Michała Michniewicza, który też ze mną wspólnie współtworzył wydział studiów, ale przez miesiąc, półtora, rzeczywiście do połowy lutego 1992 roku swoje zadania wykonywaliśmy w ramach struktury inspektoratu nadzoru i kontroli MSW. To jest taka struktura, która wcześniej nazywała się, za czasów Kiszczaka i wcześniej, główny inspektor ministra. Taka policja w policji, można powiedzieć. - I dzięki tym materiałom, które... - Audyt wewnętrzny. Nie, to jest bardziej taka biurokratyczna policja w policji. O szerokich kompetencjach i możliwościach też wnikania w pracę operacyjną służb podległych ministrowi spraw wewnętrznych. To jest też coś innego, na podstawie upoważnienia ministra GIM a potem i NIK mógł wejść nawet w materiał operacyjny policji, straży granicznej czy Biura Ochrony Rządu. Nie było dla niej żadnej tajemnicy, jeżeli działał tylko na podstawie mocowania ministra, taka była konstrukcja, a samego ministerstwa, jak i prawa, które to regulowało. Ale dzięki temu poznaliśmy właśnie dosyć nieźle i szybko po prostu resort jako taki, czym się zajmował i w przeciągu kilku dni, dzięki właśnie pracy Inspektoratu Nadzoru i Kontroli, natknęliśmy się na materiały właśnie GIM-u, poprzednika, dotyczące ucieczki Eligiusza Naszkowskiego i agenturalnej współpracy Lecha Wałęsy ze Służbą Bezpieczeństwa. I to mówię, to była kwestia tygodnia może, kiedy natrafiliśmy na te materiały, zapoznaliśmy się, zawiadomiliśmy ministra, który był bardzo zaskoczony, że tak blisko, tak newralgiczne informacje o prezydencie, tak wrażliwe są obok niego, bo w archiwum centralnym MSW. I potem przyszło to, co zresztą rząd Jana Olszewskiego ustami premiera czy też Antoniego Macierewicza, jego współpracowników werbalizował w opinii publicznej, czyli przygotowanie się do lustracji. I wydział studiów był pomyślany właśnie jako jednostka, która przygotowuje państwo polskie do przeprowadzania procedury lustracyjnej, czyli ujawnienia współpracy i przeprowadzenia quasi dowodu tej współpracy, i zbadania jakości, obszerności, okresu i tak dalej. Tak został pomyślany wydział studiów jako właśnie taka jednostka. Ja to się śmieję, że to był taki zacząnek Instytutu Pamięci Narodowej, bo trzeba wiedzieć też, że w planach takich ministrów było to, ja to sam usłyszałem z ich ust, że w przyszłości cały zasób archiwalny Służb Bezpieczeństwa czy w ogóle aparatu bezpieczeństwa państwa komunistycznego powinien być wyjęty spod MSW i przeniesiony do jakiejś innej instytucji. Jeszcze wtedy funkcjonował, znaczy już wtedy funkcjonował federalny pełnomocnik do spraw akt Stasi, czyli tak zwany instytut Gaucka, już na tym wzorze budowano pewne schematy, żeby powielić te rozwiązania w Polsce. Tak że ja się śmieję po latach, że wydział studiów był zaczął Instytutu Pamięci Narodowej i też takim prapoczątkiem Biura Rzecznika Interesu Publicznego, który powstał po tym na bazie w 1997 roku ustawy, którą zaprojektował profesor Adam Strzembosz, ówczesny prezes, pierwszy prezes Sądu Najwyższego, a który sejm przyjął. I te rozwiązania

mniej więcej tam przez parę lat, do 2006 roku obowiązywały w Polsce, aż do momentu powstania Instytutu Pamięci Narodowej. W każdym razie taki był pomysł na wydział studiów. Rekrutacja była naturalna, właśnie odwoływanie się na przykład do tych ludzi, tych aktywności, z którymi spotykałem się w grupach oporu. Z tego powodu właśnie Wojciech Nachiło, Jan Szczerba czy też nawet Michał Michniewicz, który też działał w podziemnym NZS-ie był też w tajnym zarządzie NZS-u imienia Józefa Piłsudskiego jako przedstawiciel Politechniki, w sposób naturalny tego typu jakby powiedzieć, odwołania personalne następowały. To było jakby jasne. Dla nas było ważne tylko jedno, żeby nie mieć rodzinnych powiązań z resortem, też wojskowych, jeżeli się da i że taka szkoła musiała być zaprezentowana w działalności opozycyjnej dla wiarygodności, tak? Dla wiarygodności. I w ten sposób te 19 osób udało się skompletować. Tomasz Tywonek został wtedy rzecznikiem prasowym Ministra Spraw Wewnętrznych. Tak jak mówię, szereg osób, których teraz akurat nie chcę mówić, znalazło miejsca w innych strukturach. I ta praca została, że tak powiem, zaowocowana tą nagłą uchwałą z 28 maja 1992 roku.

Artur Kłus: Przechodząc do tej ustawy, to może jeszcze byśmy się zatrzymali właśnie nad tym, nad organizacją, protestem dnia, może to zabrzmi dnia codziennego, ale jak pan wspomina właśnie te kilka miesięcy pracy w ramach ministerstwa i tego, z czym się spotykaliście na co dzień, jeżeli chodzi o tę kadrę w MSW, można spodziewać się, że z pewną niechęcią, były pewnie trudności z jakimś dotarciem czy w ogóle dostępem do materiałów. Jak pan wspomina tutaj ten okres i jeżeli mógłbym w tej części poprosić też o to, bo to też jest ten wątek gdzieś spotykany, czyli problemów niedotarcia do archiwów wojskowych służby wewnętrznej, bo to też były takie starania, żeby te archiwa też były możliwie dostępne dla wydziału. Jak pan to wspomina?

Piotr Wojciechowski: Jeżeli chodzi o kwestie wspomnieniowe funkcjonowania, budowania wydziału studiów czy też zderzania się z tą ubecką rzeczywistością, to abstrahując od tego, co powiem w tym miejscu, to polecam dwie pozycje wydawnicze, jedna to jest najwcześniejsza „Konfidenci są wśród nas”, autorstwa Michała Grodzkiego, czyli Tomasza Tywonka, pod którym on pseudonimem się ukrywał w 1990 roku, wydane Editions Spotkania, dostępne jeszcze na rynku wydawniczym, a druga książka została wydana w 2015 roku, autorem byłem ja, doktor Witold Bagieński oraz Sławomir Cenckiewicz, „Konfidenci. Archiwa ujawniają prawdę”, która jest rozszerzoną formułą poprzedniej książki, rozbudowaną o inne wątki i wyniki badań naukowych, ale tam też jest zawarty ten wątek dotyczący powstania tego wydziału, pracy, kłopotów i dnia życia codziennego. Natomiast skracając to, mogę powiedzieć tak, myśmy przysli do resortu, który był zaubeczony. To znaczy przez dwa lata państwo polskie sobie nie poradziło z funkcjonariuszami zbrodniczej organizacji, jaką stanowiła Służba Bezpieczeństwa i inne służby aparatu represji państwa komunistycznego, więc w naturalny sposób zderzaliśmy się z wrogością. Mniej lub bardziej manifestowaną. To jest jedna rzecz. Druga rzecz, byliśmy zjawiskiem niespotykanym z wyjątkiem jednego, o którym zaraz opowiem, żeby cywilom i to w szczególności o takiej prominencji, czy pochodzącym z ruchu niepodległościowego solidarnościowego, urzędnikom, dać takie kompetencje i możliwości wnikania w głąb w archiwalia i w działalność dawnej Służby Bezpieczeństwa. Ten wyjątek to stanowi tak zwana komisja Michnika. Czteroosobowa, która miała miejsce tam w 1990 roku w marcu, z jakichś powodów generał Kiszczak wpuścił Adama Michnika i trzech jeszcze historyków, w tym profesora Holzera, który jak się okazało, potem zarejestrowany był jako świadome źródło informacji Służby Bezpieczeństwa, do archiwum, ale do części tylko archiwum. Zakres ich badawczy jest do tej pory niepoznany

i tak naprawdę nie wiemy, do jakich dokumentów oni mieli dostęp, co mieli, co zabrali, co skopiowali i tak dalej. My dzięki determinacji Antoniego Macierewicza i zrozumieniu tego, co trzeba zrobić, mieliśmy praktycznie nieograniczone możliwości penetrowania ewidencji i archiwum, a także w ostatnich tygodniach działalności wydziału studiów tuż przed upadkiem rządu Jana Olszewskiego, czynnej działalności operacyjnej Urzędu Ochrony Państwa. W obszarach nas oczywiście interesujących. Największe problemy stanowił oczywiście wywiad. To znaczy, że [niezrozumiałe] wywiadu, który właśnie był osobną instytucją, tak jak departament pierwszy, z własnymi zbiorami, z własną ewidencją, z własnymi instrukcjami, mentalnością, ten słynny interes służb, własnym zakonem. I tu był rzeczywiście problem, który musiał być pokonany, ten opór na najwyższych szczeblach politycznych i on był z dużym skutkiem, ale były obszary, w których się nie udało pokonać. Ten opór był praktycznie cały czas, jeżeli chodzi o dostęp do naszych źródeł, bo to trzeba też pamiętać o tym, że to była bardzo żywa wiedza wtedy. Jeżeli natknęliśmy się na dowody współpracy opozycjonisty z lat 80. to była żywa wiedza. To miał zupełnie inny, można powiedzieć, kaliber i inny, o wiele bardziej mocniejszy, dolegliwszy, jakby owoc oddziaływania publicznego i rozsadzającego. A zarząd wywiadu był depozytem już najcenniejszej wiedzy. Znaczący wiedzieliśmy o tym, że oni poprzez penetrację struktur Solidarności w kraju i za granicą i te metody operacyjne, które oni używali, wyłuskiwali najbardziej, że tak powiem, wartościową agenturę, która w ówczesnej sytuacji państwa polskiego, sytuacji politycznej, ujawnienie ich mogłoby po prostu spowodować nieodwracalne negatywne skutki dla tych, którzy chcieli chronić tę agenturę, czyli dla generała Kiszczaka i środowisk związanych z premierem Tadeuszem Mazowieckim. I stosunkowo późno weszliśmy do archiwum zarządu wywiadu, i ten opór był stosunkowo największy, musiał być wykonywany na szczeblu najwyższym politycznym kierowniczym resortu, czyli szefa Urzędu Ochrony Państwa i Piotra Naimskiego, i Antoniego Macierewicza. Miał być pewien przełom, który miał być dokonany. Nie zdążono tego zrobić, bo trzeba było wiedzieć, że po odebraniu ślubowania rocznika w Kiejkutach ówczesnego, który kończy ten dziesięciomiesięczny kurs w czerwcu 1992 roku, zarząd wywiadu miał być rozwiązany. Miano budować wywiad w oparciu o inną kadre i w oparciu o inną filozofię, całkowicie inaczej miał być budowany. Ale te wszystkie Jasiki, Gromosławy Czempieńskie, Libery i tak dalej mieli po prostu, przestali mieć jakkolwiek wpływ na tę strukturę, - mieli być odcięci. - Takie były plany ministerstwa. Tak, tak. Natomiast 4 czerwca to pokrzyżował te plany.

Artur Kłus: Tu jest też pana wspomnienie też o tym spotkaniu, to był maj, w sprawie właśnie wojskowych służb wewnętrznych, gdzie pan spotkał się z jawnym oporem tutaj, miało być spotkanie z generałem Sobolewskim, ten wątek i właściwie...

Piotr Wojciechowski: W maju podjęto taką decyzję, znaczący próbę zaplanowaną, jak się później dowiedziałem, ona została zaakceptowana przez premiera Jana Olszewskiego, żeby ten czas urlopowania Jana Parysa i objęcia przez Romualda Szeremietiewa funkcji kierownika resortu, bo taka też funkcja wtedy, w ówczesnym stanie konstytucyjnym była, a spróbować dotrzeć do archiwów Wojskowych Służb Informacyjnych, które obejmowały i działalność dawnego zarządu drugiego sztabu generalnego, czy wywiadu wojskowego, jak i WSW z tym pionem, że tak powiem, kontrwywiadowczym zarządu pierwszego WSW i trzeciego, który był odpowiednikiem departamentu trzeciego w SB. I rzeczywiście była taka próba. Ja pamiętam, zderzyłem się z późniejszym szefem WSI, kontradmirałem Kazimierzem Głowackim, który rzeczywiście złożył oświadczenie polityczne mnie, że do archiwum nas nie wpuszczą i że oni służą prezydentowi Lechowi Wałęsie i dopiero na jego decyzję, tego typu ruchy mogą zostać wykonane, natomiast

rzeczywiście generał Sobolewski, ówczesny szef WSI, fatalna postać i błąd kadrowy, który rząd Jana Olszewskiego, Jana Parysa popełniono, po prostu wymiksował się z tej decyzji i na umówione spotkanie w cudzysłowie wyjechał, natomiast wystawiono właśnie Kazimierza Głowackiego, kontradmirała, późniejszego szefa WSI, a po latach dowiedzieliśmy się, że Sobolewski też współpracował z WSW. Więc to były takie nie do końca przemyślane, sprawdzone decyzje personalne, fatalne w swoich skutkach. Ale to nie jest najgorsze jeszcze. Najgorsze przyszło w okresie między uchwałą lustracyjną z sejmu, czyli między datą 28 maja, a wykonaniem jej, czyli 4 czerwca, gdzie ponowiliśmy tę próbę. I ta próba już się odbiła od decyzji Romualda Szeremietiewa, który postawił wartowników przy archiwum, tych budynkach i tej siedzibie, gdzie archiwa były, - i zaplombował. - Mówimy o archiwach WSI? Tak, mówimy o archiwum WSI i które to archiwa zaplombował. I tak naprawdę to na Romualdzie Szeremietiewie spoczywa odpowiedzialność za uniemożliwienie nam poszerzenia niejako tej uchwały lustracyjnej, która została przyjęta przez sejm o agenturę wojskową bądź o wyłuskanie agentury dawnej SB, której odbicie i adnotacja, byłyby zamieszczone w archiwum bądź ewidencji operacyjnej służb PRL-owskiej, Wojskowych Służb Informacyjnych. I do dnia dzisiejszego Romuald Szeremietiew nie wytłumaczył się jakby z tego, dlaczego to się stało. Jak to się stało, że taką tamę, radykalną przecież, bo mówię, postawić wartowników, zaplombować, a powiedzieć „Nie” na przykład w sposób biurokratyczny to jest zupełnie coś innego. On poszedł o kilka kroków dalej, czyli jakby pewnego bezpieczeństwa, zapewnienie pewnego bezpieczeństwa depozytariuszom tej wiedzy. Trzeba cały czas pamiętać o tym, że państwo polskie nie panowało nad tym, ministrowie nie byli suwerenni. To znaczy kto inny rządził tymi archiwami, kto inny zupełnie konsumował wiedzę z tych archiwów. Było cały czas, to byli komuniści, to byli esbecy, to byli sowietciarze. To oni nad tym panowali. Oni z tego biura robili użytek. I tu to jest bardzo znaczące. Decyzja była jakby pełniący obowiązki ministra Szeremietiewa, a nie generała Sobolewskiego - jako zwierzchnika. - Tak jest, dokładnie tak. To była jego indywidualna decyzja. Już nie szefa WSI, który wcześniej, jakby to powiedzieć, gimnastykował się z powiedzeniem „Nie” i za uniemożliwieniem nam wejścia do archiwów, ale tu było to jednoznaczne opowiedzenie się, o, tak bym to powiedział, przez Romualda Szeremietiewa w owym czasie. To był, jakby powiedzieć, wbicie noża w plecy temu rządowi. Znaczą jakby tej końcówce. Pełne opowiedzenie się. Lech Wałęsa generalnie oparł swoją prezydenturę na ubecji. Jedna noga to byli niebiescy z Miłobędzkiej, a druga to byli właśnie z Oczki wojskowi. I to była jego prezydentura, oparcia się po prostu o sowiecką ubecję, o sowietarzy tak naprawdę.

Artur Kłus: Jak pan wspomina ten okres między 28 a powiedzmy 3 czerwca, czyli przed...

Piotr Wojciechowski: To przede wszystkim zero snu. To pamiętam. Myśmy pracowali po kilkanaście godzin na dobę, bo to było związane po prostu z przygotowaniem dokumentacji, weryfikacją do tej dokumentacji, która została ostatecznie przedłożona sejmowi i tym paru osobom w państwie polskim. Obowiązywała pewna procedura narzucona przez ministra Macierewicza utajnienia tego, więc jeżeli te koperty, te dokumenty miały klauzule tajne, to musiały być odpowiednio zewidencjonowane, ponumerowane, przygotowane i to była cała praca biurokratyczna. I kwestia weryfikacji. Minister Antoni Macierewicz osobiście decydował o każdym podpisie i każdej osobie, która się znalazła na liście. Wiemy o tym, że dwie wycofał. To Bronisława Geremka i Stefana Niesiołowskiego, a podjął też decyzję wbrew całemu kierownictwu i dla mnie to jest rzecz, w której popełniono kardynalny błąd, zemścił się, w ogóle na sprawie lustracji, czyli oczyszczenie jakby tych złogów komunistycznych, administracji państwowej i szerzej życia społeczno-gospodarczego, i bezpieczeństwa państwa, równolegle to traktujemy, a mianowicie utajnienia

tych list i stworzenia dwóch list. Były dwie kategorie. Lista parlamentarzystów, która generalnie została skierowana, adresowana do sejmu i senatu, jak i lista druga reglamentowana, na której znalazły się dwie osoby, to jest Wiesław Chrzanowski i Lech Wałęsa. I tę wiedzę otrzymały kilka osób w państwie, łącznie z prezesami Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego. To było dla mnie niezrozumiałe kompletnie, skąd ten pomysł, dwa pomysły tak naprawdę, bo jak się potem okazało, i tak ta wiedza się rozlała na całą Polskę, bo sami, którzy byli na liście, o tym zaczęli mówić, a w następnym roku Gazeta Polska opublikowała w całości to. Z drugiej strony to spowodowało zamieszanie, brak wiarygodności. Znaczący multiplikowanie tego i podważanie, że tak powiem prawomocności. A stworzenie jakby osobnej kategorii ochrony, po prostu dwóch państw, dwóch osób w państwie i po latach, co zresztą zostało zawarte w książce „Konfidenci. Archiwa ujawniają”, czyli z wydawnictwa Editions Spotkania z 2015 roku, napisana wspólnie z Witoldem Bagieńskim oraz Sławomirem Cenckiewiczem, tam przeprowadziłem na potrzeby tej książki wywiady ze wszystkimi bohaterami najważniejszymi tego czasu, czyli Janem Olszewskim, Piotrem Naimskim, Andrzejem Zalewskim i wszyscy się zgodzili, że to był błąd, że to było zupełnie niepotrzebne dla sprawy i dla bezpieczeństwa państwa. I że gdyby mogli się cofnąć w czasie, to by tego błędu już nie popełnili, a co ważniejsze, to nawet o tym Jan Olszewski powiedział, i Andrzej Zalewski także, no, była przygotowywana w ogóle emisja telewizyjna, żeby to właśnie Andrzej Zalewski miał o tych zasobach przeczytać live przez Telewizję Polską w paśmie oglądalności po to właśnie, żeby wszystko się rodziło na prawdzie, a nie na... w jakiejś dziwnej konfiguracji prawno-formalnej, dokumentach, które i tak potem żyły same sobie, ale osłabiły jakby to powiedzieć ten wydźwięk i punkt odniesienia, bo co innego jest mieć punkt odniesienia na jawnym dokumencie, ładnej prezentacji listy osób uwikłanych we współpracę, skompromitowanych współpracą z organami państwa komunistycznego, a co innego jest pośrednie posilkowanie się czymś, co ma gryf tajne i co daje prokuraturze i UOP-owi do działań ofensywnych i represyjnych, w związku z ujawnieniem tego. Na celowniku była redakcja Gazety Polskiej, na celowniku był Editions Spotkania, na celowniku była każda redakcja, która ośmieliła się w ogóle z imienia i nazwiska o tym pisać. Tak demokracji budować nie należy, w szczególności w oparciu o ochronę tajemnicy państwa komunistycznego, z istoty nie niepodległego, nie suwerennego, a uzależnionego od obecnego, od obcego mocarstwa, w pełni niepodległego i stanowiącego pewien jak kadłubek, jego interesów. I to jest taka rzecz, którą warto mieć w pamięci po to, żeby w przyszłości nie popełniać takich błędów.